

Ks. Piotr PAWLUKIEWICZ

## JAKIM KOŚCIOŁEM JESTEŚMY? AUTOREFLEKSJA NA GŁOS\*

*A Kościół? Jak matka. Chrzci, naucza, księża cały czas chodzą do więzień i szpitali. Organizują wraz ze świeckimi pomoc charytatywną, prowadzą domy opieki społecznej. I gdy ktoś jest w potrzebie, nie pytają, czy głośił przedtem antyklerykalne hasła.*

### KRYTYKA CZY ATAK?

Po roku 1989 temat Kościoła stał się w Polsce bardzo modny. Mówi się o nim w radiu i telewizji, pisze w prasie, ale także rozmawia w biurze, na imieninach i w czasie podróży. I często są to głosy bardzo krytyczne wobec Kościoła instytucjonalnego i duchowieństwa. Czy to, co się mówi, jest prawdą? Zapewne są tam rzeczy prawdziwe i są wierutne bzdury. Nie będę tego dociekał. Zastanawia mnie co innego. Księża i osoby świeckie spotykają się ze sobą w szpitalu, na pielgrzymce, w czasie wizyty kolędowej, w kancelarii parafialnej, ale najczęściej spotykają się w niedzielę na Mszy świętej. Przychodzą na Mszę świętą również ci, którzy do Kościoła mają wiele zastrzeżeń i w tygodniu nierzadko pomstują na „czarnych”. A przecież Jezus powiedział: „Jeśli [...] przyniesiesz dar swój przed ołtarz i tam wspomnisz, że brat twój ma coś przeciw tobie, zostaw tam dar swój przed ołtarzem, a najpierw idź i pojednaj się z bratem swoim! Potem przyjdź i dar swój ofiaruj” (Mt 5, 23-24). Byłaby to sytuacja bardzo gorsząca, gdybyśmy stawali wokół ołtarza, żywiąc do siebie urazy i niechęć, i nie próbując tego problemu jakoś rozwiązać. Sprawa jedności w Kościele jest przecież tak ważna, żeby nie powiedzieć: zasadnicza. W swojej przepięknej modlitwie w wieczerniku Jezus prosił Ojca: „Nie tylko za nimi proszę, ale i za tymi, którzy dzięki ich słowu będą wierzyć we Mnie; aby wszyscy stanowili jedno, jak Ty, Ojczy, we Mnie, a Ja w Tobie, aby i oni stanowili w Nas jedno, aby świat uwierzył, żeś Ty mnie posłał” (J 17, 20-21). To była właśnie misja Zbawiciela: gromadzić ludzi rozproszonych przez grzech. Dlatego Chrystus tyle mówił o przebaczeniu. Nikt nie zjednoczy się z Bogiem, jeśli nie pojedna się z bliźnimi. Nie spodoba się Bogu taka parafia, w której nie będzie zachowany duch jedności – nawet gdyby miała piękną

---

\* Tekst niniejszy stanowią fragmenty książki ks. P. Pawlukiewicza *Porozmawiajmy spokojnie o księżach*, która ukaże się nakładem Oficyny Wydawniczej „Liberation”. Przep. red.

świętynię, wspaniale działające grupy i wiernych licznie uczęszczających na nabożeństwa.

Krytykę Kościoła można podzielić na dwa rodzaje. Jedna z nich to ta, która wychodzi ze środowisk pozakościelnych: czy to od ludzi niewierzących, czy od wyznawców innych religii. Ta opozycja antykościelna nie jest niczym nowym. Istniała już od czasów samego Jezusa. Stanowili ją ci, którzy nie uwierzyli w Jego przesłanie. Nie uwierzyli w to, że Nauczyciel z Nazaretu jest Mesjaszem, Synem Boga. To oni Go ukrzyżowali. A potem walczyli brutalnie z Jego uczniami. Walczyli mieczem i szyderstwem. Znaleziony w Rzymie rysunek antychrześcijański, na którym widnieje ukrzyżowany osioł, pochodzi z III wieku po Chrystusie. I tak już było przez całe dwadzieścia wieków. Poszczególni ludzie i całe instytucje, ruchy i narody, nie mające z Kościołem nic wspólnego, próbowały go zniszczyć lub ograniczyć jego wpływy. Ta opozycja zewnętrzkościelna nikogo nie dziwi i jest zupełnie naturalna. Ludzie o innym światopoglądzie widzieli w apostołach Dobrej Nowiny swoich wrogów i wypowiadali im często militarną czy tylko ideologiczną wojnę.

Istnieje jednak w Kościele także opozycja wewnętrzna. To krytyka postępowania wszystkich chrześcijan czy tylko duchowieństwa, która pochodzi od tych, którzy sami uznają się za uczniów Chrystusa, którzy przyznają się do przynależności do wspólnoty ślubu Bożego. Ci ludzie przyjmują dwie zasadniczo różne postawy. Pierwszą z nich reprezentował sam... Jezus. Ktoś powiedział, że sam Zbawiciel był największym antyklerykałem. I zapewne nie chodziło mu tylko o Jezusową krytykę kapłanów Starego Przymierza, ale także o napominanie samych apostołów. A miało to miejsce wcale nie tak rzadko. Chrystus wypominał swoim uczniom zwątpienie, małą wiarę, a także to, że sprzeczali się między sobą, który z nich jest większy. Gdy Piotr chciał odwieść Jezusa od Jego posłania, od wejścia na drogę krzyża, Zbawiciel napomniął go niezwykle mocnymi słowami: „Zejdź Mi z oczu, szatanie! Jesteś mi zawadą, bo myślisz nie na sposób Boży, lecz na ludzki” (Mt 16, 23).

W pierwszych wiekach, gdy apostołowie widzieli, że postępowanie niektórych chrześcijan nie licuje z godnością uczniów Chrystusa, także mocno napominali poszczególne osoby czy całe gminy. W Listach św. Pawła znaleźć możemy jego bardzo mocne reprimendy pod adresem swoich braci w wierze. Dotyczyły one także kapłanów. W pierwszym liście do Tymoteusza Apostoł Narodów pisze: „Trwających w grzechu [prezbiterów] upominaj w obecności wszystkich, żeby także i pozostali przejmowali się lękiem” (1 Tm 4, 20).

I potem, w ciągu dwudziestu wieków chrześcijaństwa, można znaleźć wiele postaci, którym nie tyle nie podobał się Kościół, co raczej to, że w jego życiu zdarzało się wiele odstępstw od wskazań Bożej nauki. Wspomnijmy tutaj choćby św. Franciszka, wielkiego odnowiciela życia chrześcijańskiego. Był on stanowczym znakiem sprzeciwu wobec stylu życia, jaki zapanował w Kościele średniowiecznym.

Można by podobnie powiedzieć o wszystkich świętych w liczącej dwadzieścia wieków historii ślubu Bożego. Im też w Kościele nie podobało się wiele rzeczy, ale odznaczali się przy tym kilkoma wspólnymi cechami. Po pierwsze mocno wierzyli w to, że grzech, choćby nie wiadomo jak wdarł się w szeregi chrześcijan, nigdy nie naruszy samej istoty świętości Kościoła. Jezus obiecał to swoim uczniom, kiedy powiedział do Piotra: „Ty jesteś Piotr [czyli Skala], i na tej Skale zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne go nie przemożą” (Mt 16, 18). Nigdy zatem nie można powiedzieć, że w Kościele jest już tyle grzechu, że przestał on być Ludem Bożym. Zbawiciel nigdy, nawet w czasach wielkich kryzysów duchowych, które dotykały Jego owczarnię, nie opuścił i nie opuści Kościoła. Przeciwnie to także obiecał swoim uczniom mówiąc: „A oto Ja jestem z wami przez wszystkie dni, aż do skończenia świata” (Mt 28, 20). Dlatego ci Chrystusowi „reformatorzy” Kościoła w swoim patrzeniu na Bożą owczarnię potrafili dokładnie oddzielać plewy od ziarna. Nawet przed tymi pasterzami, których postępowanie bardzo ich bolało, ale w których widzieli następców apostołów Jezusa, klękali z pokorą. Ta pokora jest chyba jednym z najtrudniejszych wymiarów chrześcijańskiego życia. To, że wielu potrafiło przyjąć taką postawę z miłości do Jezusa i Jego owczarni, wielokrotnie było początkiem rzeczywistej reformy życia duchowego w Kościele.

Jest i druga istotna cecha tej postawy świętych wobec zła w Kościele. Upadki chrześcijan były dla nich zawsze czymś bardzo bolesnym i nigdy nie stawały się powodem jakiejś radosnej czy zawistnej satysfakcji. To spojrzenie na grzech w Kościele zawsze odróżniało i nadal odróżnia tych, którzy Kościół kochają, od tych, którzy w skrytości serca źle mu życzą.

Trzecią wreszcie cechą było istotne pytanie zawsze stawiane przez odnowicieli Kościoła: co zrobić, aby takiej gorszącej sytuacji zaradzić. Święty Franciszek, widząc dokoła siebie przepych życia duchowieństwa, cały ten przesył bogactwa, nie tyle wytoczył papieżowi, biskupom i księżom propagandową wojnę, co sam wybrał drogę skrajnego ubóstwa. Przez to pokazał im wszystkim, na czym polega prawdziwa chrześcijańska wolność i prawdziwe ewangeliczne bogactwo. Święty z Asyżu czasami mocno „krytykował” Kościół, ale czynił to z pokorą, na kolanach. Nie krzyczał i nie napominał, ale zawstydział i pociągał przykładem. I między innymi dzięki temu osiągnął tak wiele.

Każdy, kto pragnie tak „rewolucjonizować” Kościół, powinien pamiętać, że będzie musiał złożyć dla tej sprawy swoją ofiarę. Sam Jezus nie tylko demaskował zło słowami, ale pokazał swoim życiem, jak należy czynić dobro, a co najważniejsze, złożył ofiarę ze swojego życia dla wyzwolenia człowieka z grzechu. Ci, którzy w historii Kościoła mieli pozytywny wpływ na jego rozwój, podążali tą właśnie drogą.

Te wszystkie cechy odróżniają Bożych reformatorów od tych ludzi, którzy także widzą zło w Kościele, ale patrzą na nie jedynie z pozycji widza. Oni

właśnie mówią: „Jestem wierzący, nie mam nic przeciwko Panu Bogu i wierzę, ale...” – i tu następuje cała litania zarzutów pod adresem chrześcijan, najczęściej duchowieństwa. Co charakterystyczne: ci ludzie nie chcą nawet ruszyć palcem, aby coś samemu zrobić w tej sprawie. A na pytanie: „A jak pan czy pani, skoro uważa się za katolika, pragnie wpłynąć na to, by zło nie miało dostępu do wiernych, także tych w sutannach?” – reagują najczęściej wzruszeniem ramion. Oni służą jedynie radą i uwagą. Zazwyczaj dość złośliwą.

Kiedyś w jednej z warszawskich parafii prowadziłem rekolekcje adwentowe. Obecnie w kościele ludziom mówiłem o prawdziwym i pozornym chrześcijaństwie. Wskazywałem przykłady – a o to, niestety, nietrudno – jak wiele ludzi jest katolikami tylko z metryki, a w swoim życiu nie chce dotknąć się Chrystusowego krzyża. Po skończonej nauce przyszedł do mnie do zakrystii młody człowiek i zapytał: Już mi ksiądz udowodnił, że nie jestem chrześcijaninem. I co z tego?

Kapitalne pytanie! I co z tego, że dostrzegłem zło tkwiące w czyjejs postawie, i nawet powiedziałem mu o tym? I co z tego? Czy Jezus przyszedł na ziemię po to, aby nam powiedzieć, jacy jesteśmy? Owszem, wiele spraw wypominał ludziom, ale przede wszystkim przyszedł po to, aby nas zbawić! I szczególną troską objął tych, którzy byli mocno zniewoleni przez grzech. Sam przecież mówił: „Nie potrzebują lekarza zdrowi, ale ci, którzy się źle mają” (Łk 5, 31).

Wielokrotnie miałem ochotę powiedzieć to samo ludziom, którzy słusznie mówili o naszych kapłańskich grzechach: Już mi udowodniłeś, że my księża zawadzimy. I co z tego? Czy można tylko krytykować, a potem trwać w pełnym satysfakcji poczuciu: dowaliłem „czarnym!”? I co z tego? Czy Kościół się od tego zmieni na lepsze? Więcej dobra będzie na świecie?

I dziś mamy wokół nas wielu reformatorów Kościoła. Jedni pisują w lewicowej prasie, pilnie śledzą upadki katolików, a potem obwieszczają swoje odkrycie w programach radiowych i telewizyjnych. Wielu z nich mocno przy tym podkreśla swój katolicyzm. Drudzy, także niezadowoleni z tego, jaki jest Kościół, spędzają godziny na modlitwie, wstępują do Akcji Katolickiej, poświęcają swój czas i energię dla ożywienia życia parafialnego. Ich „antyklerikalizm” polega na tym, że potrafią bez słów zawstydzić kapłana, który osłabł w swojej gorliwości, życzliwie zwrócić mu uwagę w rozmowie w cztery oczy. I potrafią to zrobić skutecznie! Wspomagają też niejednego księdza, który poddał się zwątpieniu.

## ODTRĄCENI CZY ZACIETRZEWIENI?

Pamiętam, jak w szpitalu, w którym pracowałem jako kapelan, podszedłem pewnego dnia do łóżka ciężko chorego człowieka. Nie trzeba było znać się na

medycynie, by zorientować się, że jego koniec jest bliski. Chory był przerażająco wychudzony. Praktycznie sama skóra i kości. Kroplówka rytmicznie odmierzała ostatnie godziny jego życia. Oczy były lekko zamglone dawką morfiny. Patrząc na tę przeoraną cierpieniem twarz, zapytałem:

– Może chciałby Pan skorzystać z sakramentu pojednania?

W pierwszej chwili nic nie odpowiedział, tylko patrzył na mnie, jakby nie rozumiał pytania.

– Wie pan, warto skorzystać – dodałem. – W szpitalu lepiej niż w kościele, bo bez kolejki. A zaraz też przyniosłbym panu Komunię. Pan Jezus na pewno by pomógł, bo choroba, widzę, że ciężka.

– Oj, ciężka, ciężka. To już chyba będzie koniec – chory szepnął z trudem przez zaschnięte wargi.

– Wszystko w ręku Pana Boga, tylko trzeba mu się w zaufaniu oddać. To właśnie Pan Jezus mnie tu przysłał, więc może się pan wypowiada?

– Wypowiadać? Bo ja wiem... – chory zaczął błędzić wzrokiem po suficie.

– No jasne, że lepiej się wypowiadać. Mógłbym panu teraz co dzień przynosić Komunię.

– Ale ja dawno nie byłem u spowiedzi. Będzie ze czterdzieści lat – odparł w zamyśleniu. – Do kościoła nawet czasami chodziłem, ale do spowiedzi nie.

– Czterdzieści lat – powtórzyłem jakby mechanicznie.

Patrzyłem na tego człowieka, które tyle lat omijał wyciągnięte ramiona miłosiernego Ojca. Chory jakby wyczuł pytanie, które cisnęło mi się do głowy, i sam powiedział:

– Zaraz po wojnie, jak brałem ślub, to mnie ksiądz zwymyślał w konfesjonale. Tak się zawzięłem, że powiedziałem sobie, iż więcej do spowiedzi nie pójdę. I nie poszedłem.

Taka prosta historia, a jednocześnie taka tragiczna. Nie mam pojęcia, o co chodziło wtedy w konfesjonale przed czterdziestu laty. Wiem tylko, że dokonało się tam coś bardzo niedobrego. Kto był winny? Nie wiem. Odruchowo cisnie się na usta odpowiedź, że ksiądz. Ale całą prawdę zna tylko Bóg. Na każdy czyn ludzki wpływa bardzo wiele czynników. Wychowanie, stan zdrowia, zrozumienie konkretnej sytuacji i jeszcze wiele innych. Tylko Pan Bóg wie, ile w konkretnym uczynku jest faktycznej odpowiedzialności danego człowieka, a ile zawinili inni. Dlatego Jezus mówi: „nie sądzcie”.

Wielokrotnie w moim życiu spotykałem kogoś, kto zaklinał się, że obiektywnie opisuje mi czyjąś winę. Potem, po rozmowie z tym osądzonym, okazywało się, że rzeczywistość wcale nie jest czarno-biała. Po kilku takich doświadczeniach bardziej doceniłem wartość Chrystusowego zakazu sądzenia. Nikt z nas nie zna wszystkich okoliczności tego, co nawet widzimy na własne oczy. A co dopiero, gdy chodzi o wydarzenie sprzed czterdziestu lat.

Gdy tak patrzyłem na chorego, któremu wyraźnie zaszklily się oczy, powiedziałem:

– Nawet jeśli tamten kapłan bardzo zawinił, to co panu złego zrobił Jezus, że tak Go pan opuścił?

Ale już nie czekałem na odpowiedź, tylko przysiadłem na krawędzi łóżka i sięgnąłem po stulę. Domyślałem się, że ta spowiedź będzie bardzo głęboka...

To nie był jedyny spotkany przeze mnie człowiek, który obraził się na Kościół po jakimś wydarzeniu, w którym brał udział ksiądz. Byli tacy, którzy się „zacięli” po załatwianiu sprawy w kancelarii parafialnej. Byli tacy, których zgorszyło zachowanie księdza na pogrzebie, domaganie się większego stypendium za Mszę, zlekceważenie kogoś w czasie wizyty kolędowej. Nasłuchałem się tych historii niemało. I często na koniec padała konkluzja: „i dlatego, proszę księdza, do kościoła nie chodzę”.

Jak wspomniałem, nie mam pojęcia, kto i ile zawinił w poszczególnych sytuacjach. Nawet nie próbowałem dociekać, co naprawdę wydarzyło się kiedyś. Może byłby jeszcze sens takiego śledztwa, gdyby chodziło o sprawę z „wczoraj”, o konieczność, by ktoś kogoś przeprosił, naprawił krzywdy, poniósł konsekwencje. Jednak większość przypadków to takie „zacięcia się” z dalekiej przeszłości, które latami siedzą w człowieku. Może do końca nie rozumiem tych zranień, choć przecież i ja nie zawsze spotykałem i spotykam uśmiechniętych i życzliwych księży, ale na pewno nie mogę zrozumieć, że ktoś po takim wydarzeniu rezygnuje z sakramentu pojednania, Eucharystii, w ogóle przestaje się modlić. Bo jeśli nawet zawiódł kapłan, to co winny jest Jezus?! Przecież w istocie to Jego się odrzuca. Jego i Jego Miłość. Nie rozumiem tego i tym bardziej nie sądzę, że tylko ktoś taki jest winny, bo odpowiedzialność rozkłada się tu na wiele osób. Przecież taki człowiek, który odchodzi od Kościoła, na pewno miał słabą wiarę. Dlaczego tak było? Czy to wina jego rodziców, czy może katechetów? Przecież ktoś, on sam czy może inni, zaniedbał sprawę formacji takiego człowieka. Faktem pozostaje jednak to, że nie umiał on głębiej patrzeć na Kościół, nie doświadczył w nim w pełni spotkania z Bogiem i dlatego odszedł od wspólnoty wiary. Przecież bardzo wielu świętych także doznało przykrości od osób wierzących, duchownych i świeckich. Nie odeszli jednak i pomimo tych zranień pozostali w Kościele i kochali go nadal.

Pozostawiam więc na boku sprawę winy tych, którzy się obrazili. Chciałbym jedynie zapytać o coś tych, którzy teraz w takim uporze trwają i nie chcą powrócić, a jest ich w naszym kraju niemało. Zadaję im zawsze jedno pytanie: „A gdyby kiedyś pana zwymyślał jakiś lekarz. Gdyby oszukał czy zlekceważył w szpitalu albo w przychodni rejonowej, to co, czy przestałby się pan do końca życia leczyć?” Odpowiedź jest aż nadto oczywista. Tysiące ludzi miało przykre incydenty z lekarzami. Niektórzy nawet czuli się może pokrzywdzeni, ale milczeli, bo wychodzili z założenia, że lepiej z lekarzem nie zaczynać. Byli jednak i tacy, którzy zrobili personelowi medycznemu porządną awanturę i poszli leczyć się gdzie indziej. Często ludzie zmieniają lekarza nawet nie dlatego, że spotkała ich z jego strony jakaś przykrość. Po prostu leczenie nie

przynosiło skutków. Wtedy z wiarą kierują swe kroki do innego specjalisty, do innej przychodni. Jak Polska długa i szeroka panuje u nas powszechna wymiana informacji o dobrych lekarzach. Gdy kiedyś zachorowałem na kręgosłup i opowiadałem o swoich kłopotach znajomym, to chyba co druga osoba była gotowa dać mi telefon lub adres dobrego specjalisty: „Ja proszę księdza to już od lat jeżdżę do takiego kręgarza koło Łodzi. To wspaniały specjalista”. Inni wysyłali mnie do Zielonej Góry, a jeszcze inni „tylko” do Wyszkowa.

Jeśli chodzi o zdrowie, jesteśmy bardzo zaradni. Jeśli chodzi o zdrowie ciała, bo jeśli chodzi o duszę to... nie spodobał mi się ksiądz, a więc zrywam wszelkie kontakty z Kościołem. A przecież w Polsce jest ponad trzydzieści tysięcy księży. Co niedziela odprawiane jest kilkadziesiąt tysięcy Mszy świętych, wygłaszanych jest tysiące kazań. W Wielkim Poście organizowane są setki rekolekcji. Kto zdziwi się: to ja mam jeździć po Polsce w poszukiwaniu spowiednika? Mam jeździć na drugi koniec miasta na Mszę świętą? Niektórzy codziennie dojeżdżają do pracy po trzydzieści kilometrów. Jeżdżą na drugi koniec miasta po zakupy do megasamu. Na weekendy jeżdżą na działkę. Nawet i sto kilometrów w jedną stronę. Jeśli się naprawdę chce, to można. Zresztą najlepszym dowodem jest to, że wiele ludzi w naszym kraju szuka jednak „swojego” księdza, „swojej” Mszy świętej. Dzwonią, tropią i szukają swoich przewodników duchowych. I zbierają tego dobre owoce. Im na tym bardzo zależy. Na pewno nie będzie na to stać tych, którzy na modlitwę przeznaczają jedynie czas jazdy autobusem czy podmiejskim pociągiem, spóźniają się na niedzielną Mszę świętą. Oni mają dla Pana Boga takie czasowe resztki. Gdzie im tam w głowie, żeby poświęcić na takie sprawy jeszcze dodatkowy czas.

Wydaje mi się, że niekiedy Pan Bóg specjalnie może tak „schować się” komuś, by zobaczyć, czy ten będzie Go szukał. Żeby spotkać się z Jezusem przed dwoma tysiącami lat, też trzeba było niekiedy wędrować dziesiątki kilometrów i nocować pod gołym niebem. Dlaczego Bóg nie miałby prawa dziś wymagać tego od nas? Tylko gwałtownicy zdobywają królestwo niebieskie. Ludzie, którzy szukają, niekiedy się naprzykrzają, działają gwałtownie, a gdy trzeba, to sprytnie, ale nawet za dużą cenę chcą znaleźć swoją drogę do Boga. To jest ich być albo nie być. Jezus powiedział: „Kto szuka, ten znajdzie” (Łk 11, 10).

Gdy słucham tych ludzi, którzy odeszli od Kościoła, to wydaje mi się, że niekiedy ważną rolę odgrywa tam sprawa pretekstu. Bo, nie ukrywajmy, Ewangelia jest trudna. Już Boże przykazania były wysoko postawioną poprzeczką, a przecież Chrystus w swoich naukach postawił nam jeszcze większe wymagania, i aby je zrealizować, potrzeba sporo duchowej pracy. Każdy chrześcijanin powinien się modlić, przystępować do sakramentów. To wszystko dla ludzi stojących na pograniczu Kościoła może wydawać się przerażająco trudne. Nawet wielcy chrześcijanie mieli czasami ochotę odrzucić Ewangelię i zacząć

żyć według własnych zachcianek. Cóż więc dopiero ci, którzy z domu wychowania religijnego nie wynieśli, swojej wiary nie pogłębili. Dla nich religia to jedynie zbiór uciążliwych nakazów i zakazów. Oni jeszcze rozumieją potrzebę obrzędu chrztu, ślubu i pogrzebu. To się nawet w życiu przyda i dlatego w takich, i tylko w takich sytuacjach ludzie ci zgłaszają się do Kościoła. Jednak już niedzielna Msza święta jest dla nich czymś zupełnie zbytecznym. I przychodzi w ich życiu ogromna pokusa, żeby sobie dać spokój z wymaganiami Kościoła. I to zarówno z tymi dotyczącymi praktyk religijnych, a także z samymi przykazaniami. Zwłaszcza tymi, które dotyczą czystości, uczciwości i miłości bliźniego. Tylko jak to zrobić? Przyznać się, że odchodzę od Kościoła i zaczynam łamać Prawo Boże, czyli po prostu grzesznie żyć? Nie, na to ich nie stać. Nie chcą się przyznać, że to odrzucenie jest ich winą. Że jest to po prostu ucieczka od Ewangelii i zasad moralnych. A winnego trzeba znaleźć. I co w takiej sytuacji zrobić? Ależ to jest bardzo proste: „Winni są księża! To oni! Materialiści, ludzie amoralni, pchający się do władzy, pławiący się w luksusach. Ludzie o niskim poziomie intelektualnym, reprezentanci tak zwanej parafiańszczyzny. To przez nich odszedłem od Kościoła. Nie od Boga, tylko od Kościoła. W Boga przecież nadal wierzę”. Taką z grubsza opcję przyjmuje się i w praktyce chrześcijańską moralność ma się z głowy.

## O ŹRÓDŁACH ANTYKLERYKALIZMU

To zrozumiałe, że zjawisko antyklerykalizmu może mieć bardzo różne źródła, że jest ono niekiedy „produkowane” przez ludzi i dla ludzi, którzy mają niezbyt czyste sumienie, a sami przed sobą chcą uchodzić za porządnych i niewinnych. Moim zdaniem kłamstwem byłoby twierdzić, że księża są wszystkiemu winni, ale i nieprawdą jest, że nie są winni niczemu, że zastrzeżenia ludzi to historyjki wyssane z palca.

Jak napisałem już wcześniej, bardzo trudne, a często wręcz niemożliwe jest osądzenie człowieka. Precyzyjne wykazanie tego, ile w danym uczynku jest „czystej” winy, przekracza nasze możliwości. A jeśli niekiedy sytuacja wymaga podjęcia takiej analizy, po to aby rozwiązać na przykład trudną sytuację w parafii lub w szkole, to trzeba wtedy wysłuchać wnikliwie wszystkich stron sporu i postarać się o maksymalnie obiektywne spojrzenie na sprawę. I jeżeli biskup musi niekiedy konkretnego księdza odwołać z pełnienia funkcji katechety w danej szkole, to sądzę, iż nie jest to równoznaczne z wydaniem wyroku: tylko on zawinił, tylko on jest winny, a młodzież czy nauczyciele są zupełnie „bez winy”. Jest to czasem po prostu jedyne możliwe rozwiązanie sytuacji patowej, w której niemożliwa jest dalsza praca duszpasterska.

Tak więc nawet wnikliwa analiza dokonana z bliska nie uprawnia do wydawania jednoznacznych wyroków. A cóż dopiero, gdy ktoś „wskazuje winę na



odległość”, jedynie na podstawie tego, że „pewna pani powiedziała drugiej pani”. Jest to zawsze duże nadużycie.

Powtórzę jednak, że nie mam zamiaru upierać się przy tym, że my, księża, jesteśmy bez winy, że zawsze wszystko robimy poprawnie i że nie zdarzają się nam moralne potknięcia, a nawet gorszące wydarzenia. Jest w nas na pewno ta czysto osobista wina, za którą ponosimy odpowiedzialność. Jednak staram się pokazać ten bolesny problem w kontekście różnorodnych uwarunkowań. Chodzi mi też o to, by postawić pytanie. W jaki sposób wspólnota Kościoła może pomóc nam, kapłanom? Co można zrobić, byśmy jak najskuteczniej unikali takich sytuacji i spełniali dobrze nasze apostołskie posłannictwo? Mocno podkreśliłem ten oczywisty fakt, że duchowni, jak wszyscy członkowie Kościoła, potrzebują Bożego przebaczenia i pomocy. Chciałbym tu zwrócić uwagę na wszystkie aspekty tej antyklerykalnej atmosfery, która stała się dość popularna w pewnych środowiskach. Może naświetlenie niektórych spraw pomoże spojrzeć na ten problem z większą uczciwością. Choć na pewno będą mogli uczynić to jedynie ci, którym zależy na szukaniu prawdy, a nie na narzucaniu innym (i sobie!) wygodnych sądów czy opinii.

Zastanawia mnie niekiedy częstotliwość i intensywność takich antyklerykalnych dyskusji. Wiem, że osoba księdza zawsze w towarzystwie prowokuje kościelne tematy, także i te „anty”. Widzę jednak często, że wielu aż się nie może doczekać, kiedy mnie poinformuje, że „pewien ksiądz to...” I mówią to z wypiekami na twarzy. Dlaczego to jest aż takie fascynujące? Dlaczego nawet ci, którzy do kościoła nie chodzą, po kolędzie księdza nie przyjmują, nic na Kościół nie dają i w ogóle nie mają z nim do czynienia, tak często muszą sobie na księży pogadać? Dlaczego mówią z taką siłą i energią? A może chcą zagłuszyć swoje sumienie, które mimo tak wielu „niezbitych” argumentów nie daje za wygraną. Może te dyskusje na ławkach, na podwórkach, przy kawie, to dla niektórych seans zbiorowej terapii i leczenia się z duchowego niepokoju? To może dlatego z taką radością witany jest każdy kolejny rozmówca, który przyniesie kolejną wieść, że „w jednej parafii to była wielka awantura”. Ci ludzie słyszeli już dziesiątki takich historii, znają je na pamięć, ale zawsze przyda się nowy kamyczek do zasypania sumienia.

To zjawisko jest chyba jeszcze organicznie związane z inną socjologiczną przyczyną z szukaniem winnego. Wiadomo, że w naszym kraju dzieje się wiele spraw, które ludzi denerwują. Nie tak jak trzeba funkcjonuje gospodarka, życie polityczne jest coraz mniej klarowne. Dla wielu przyszłość rysuje się w ciemnych kolorach albo przynajmniej nie jest zbyt pewna. Wielu ludziom, zamiast ubywać, przybywa kłopotów. Oczywiście, trzeba znaleźć winnego. Dawniej mówiło się o komunizmie i Związku Radzieckim, ale teraz komuny już podobno nie ma, a poza tym narzekać na komunę to już niemodne, banalne i stereotypowe. Trzeba wymyśleć coś oryginalniejszego: „Ależ oczywiście, tak! To Kościół! To on jest wszystkiemu winien! Przecież dorwał się po 1989 roku

do władzy! I jak ta władza teraz wygląda?! A księża? Oni tylko mają w głowie pieniądze, wygodne życie! A ilu wśród nich takich, co sobie życie umila alkoholem i potajemnymi związkami z kobietami?! Tyle lat był nietykalny, jak święta krowa, ale to się na szczęście skończyło!”

Jedno jest pewne: jeśli kto chce dostrzec grzech w Kościele, to znajdzie go bez większego wysiłku. Nikt rozsądnie myślący nigdy nie próbował ukrywać tego, że zło dotyka chrześcijan, także tych, którzy noszą sutanny i habity.

Pamiętam, jak kilka lat temu spotkałem mojego kolegę ze szkolnej ławy. Już po słowach powitania zaczął tradycyjnie: o Kościele.

– No i co, Piotrze, dobrze się urządziłeś – powiedział z miną człowieka, który przyłapał drugiego na gorącym uczynku.

– Dlaczego? – zapytałem

– Jak to dlaczego? Przecież teraz wy rządzą. Byli czerwoni, teraz są czarni – odpowiedział z triumfującym uśmiechem.

– No dobrze, ale jeśli ja rządę, to na przykład co ja ci mogę rozkazać, czego ci mogę zabronić? Na co mogę wpłynąć? Na to, że ci paszport zabiorą? Czy mogę zamknąć gazetę, którą kupujesz? Czy mogę rozpędzić manifestację antykościelną? Bo widzisz, komuna wszystko to robiła, a czy rzeczywiście Kościół to wszystko kontynuuje?

– No może nie tak dosłownie, ale pchacie się do władzy – odpowiedział mój rozmówca.

– Chyba nie masz na myśli duchowieństwa, bo żaden ksiądz ani biskup w wyborach nie startuje ani nie piastuje urzędów państwowych. A że świeccy katolicy chcą mieć udział w rządzeniu krajem, to co w tym złego? Skoro miłośnicy piwa chcą być w sejmie, to czy katolikom nie wolno? A czy próbują przy tym metod komunistów, tych z roku 1946? Przecież uczciwie startują w wyborach, jak wszyscy.

Mój kolega pokręcił głową i dodał tylko:

– Rządzą, Piotrze, rządzą.

Zmieniliśmy szybko temat, ale tak sobie pomyślałem: skoro tak myśli człowiek po wyższych studiach, to czego wymagać od tych, którzy w ogóle gazet i książek nie czytają, a tylko słuchają tego, co mówią ludzie. Ale to chyba i wykształceni, i prości mają takie samo zapotrzebowanie na takiego uniwersalnego winnego.

Takie zbiorowe narzekanie na Kościół ma jeszcze jedną wygodną stronę. Otóż Kościół nie bez przyczyny sam siebie nazywa Matką. A ze wszystkimi matkami jest na świecie tak, że nie są, przynajmniej w pewnym okresie życia zbyt mocno kochane przez swoje dorastające dzieci. Wielu młodych ma ułożony w głowie mniej więcej taki schemat: koledzy są dobrzy, zespoły rockowe wspaniałe, a matka to ta, co się tylko czepia i zatruwa życie. Koledze lepiej pochopnie nie ubliżać, bo się obrazi i odejdzie. Tak samo swojej dziewczynie i innym znajomym. Ale nie matce. Gdy się szuka winnego, to wszystko można

zwalić właśnie na nią. Można jej nawet powiedzieć przykre słowo. Ona pogada, ale nie odejdzie. Rano robi śniadanie, gdy trzeba, wezwie lekarza i zapłaci za leki. Podobnie Kościół. Pogada, jak stara matka, ale gdy trzeba, to ksiądz do chorego pójdzie, w konfesjonale wysłucha, w jadłodajni dla biednych nakarmi. Nawet tego, który kiedyś był czy może jest antyklerykałem. Kościół się nie obrazi i z ziemi polskiej nie odejdzie. Obrażeni księży parafii nie zamkną. Będą z ludźmi zawsze i wszędzie. Jak byli w czasie zaborów, w latach drugiej wojny światowej i za komuny. I dlatego dla wielu Kościół jest wygodny, jak ten chłopiec do bicia albo raczej matka do narzekania na nią. To, że właśnie ona kochała najbardziej, troszczyła się jak nikt inny, wielu odkrywa dopiero dużo później. Niektórzy, niestety, za późno. Podobnie jest z Kościołem. Może niektórzy go nie doceniają, ponieważ jest tak blisko, na co dzień. Gotów służyć sakramentem, słowem, pomocą charytatywną. Ludzie z tych regionów świata, gdzie jeszcze do niedawna albo nawet po dziś dzień ksiądz przyjeżdża ze Mszą świętą raz na kilka tygodni, mają raczej życzliwy stosunek do Kościoła. Czy tych, którzy kochają tak zwyczajnie, tak na co dzień, kochają prawdziwie, a więc także wymagają wiele, karzą i mówią prawdę, nawet tę trudną, czy tych możemy zacząć doceniać dopiero wtedy, kiedy ich stracimy?

Wreszcie kiedy staramy się zastanowić, dlaczego tak wielu narzeka na Kościół i żywi w sercach tyle niechęci do duchowieństwa, nie możemy zapominać, że istnieją grupy czy całe środowiska, którym bardzo zależy, by poróżnić w Kościele duchownych i świeckich. Zawsze dokonuje się to z zastrzeżeniem, że „nikt Kościoła nie chce atakować, że chodzi tylko o obiektywne ukazywanie pewnych faktów i że księży i biskupi sami sobie na to zasłużyli”. Ludzie, którzy specjalizują się w ukazywaniu hierarchii Kościoła w złym świetle, zaklinają się, że nie mają nic przeciwko Panu Bogu i wierze. Podkreślają, że nie przeszkadza im to, że ludzie modlą się, chodzą do Kościoła i starają się zachowywać Boże przykazania. Oni nawet uważają się niekiedy za tych, którzy pomagają Kościołowi, oczyszczając go z tego moralnego brudu, jaki zagnieżdżył się w sercach duchowieństwa. Przedstawiają więc wiele pikantnych historyjek, wskazują na tajemne, totalitarne zapędy Kościoła i czynią to wszystko z „bezstronnym obiektywizmem”.

Nie roszczę sobie pretensji, by orzekać o wspomnianych sensacjach, czy są wierutnym kłamstwem, czy jest w nich pewna doza prawdy. Nie wiem. Tak jak wspomniałem, w samej tylko Polsce jest kilkadziesiąt tysięcy księży. Skoro wśród dwunastu apostołów trafił się jeden zdrajca, to czy można powiedzieć, że podobnych nie ma wśród tysięcy? Niestety, są i dają swoim zachowaniem pretekst wszystkim niechętnym Kościołowi, którzy to bezlitośnie wykorzystują. Jednak z drugiej strony nie ma wątpliwości, że wśród podawanych wiadomości o gorszej postawie duchownych zdarzają się ewidentne kłamstwa.

Po roku 1989, kiedy uchylono nieco tajemnic skrytych w komunistycznych archiwach, można tam było znaleźć także informacje dotyczące szkalowania

księży. W jednej z codziennych gazet ukazały się w roku 1990 wspomnienia byłego pracownika Wydziału IV MSW. Cały ten wydział zajmował się właśnie, jak to mówiono, rozpracowywaniem Kościoła. A czym konkretnie? Posłuchajmy wspomnień człowieka, który widział to wszystko z bliska: „Jeden z poruczników naszego wydziału napisał odręcznie widokówkę do księdza tak, aby wyglądało, że pisze to kobieta, która z księdzem ma dziecko.

Gdy w wypadku samochodowym uczestniczył ksiądz, można było na miejscu zdarzenia podrzucić mu prezerwatywy, aby go skompromitować.

Innym razem otrzymałem od przełożonego zdjęcie dziewczynki od pierwszej Komunii świętej i odpowiedni tekst. Z tekstu wynikało, że jest to dziecko księdza. Liczyliśmy, że tutaj, w wiejskim terenie, plotka taka się przyjmie i zwiększy liczbę osób niechętnych księdzu. Innym kolportowanym zarzutem było to, że ksiądz dlatego mało bierze za usługi kościelne od ludzi, ponieważ jest i tak opłacany w dolarach.

We wszystkich tych czynnościach brałem udział osobiście i byłem ich głównym wykonawcą”.

Tyle wspomnień byłego pracownika SB. To tylko mały wycinek wielkiej akcji propagandowej wymierzonej przeciwko księżom. Trwała ona kilkadziesiąt lat! Brały w niej udział tysiące specjalnie przeszkolonych agentów. Mieli do dyspozycji wszelki potrzebny sprzęt. Ilu ludzi musiało się nabrać na te kłamstwa, które Służba Bezpieczeństwa puszczała w obieg! Aż trudno sobie wyobrazić, jak wielką sensacją była dla takiego małego, zamkniętego środowiska informacja, że ksiądz dostaje kartki od kobiet, z którymi jest jakoś związany. Takich lub podobnych prowokacji były tysiące. Wieść o nich rozchodziła się lotem błyskawicy. Ile z nich jeszcze do dziś krąży w przekazywanych z ust do ust plotkach? Dla uwiarygodnienia są one potwierdzane słowami: moja „znajoma na własne oczy widziała!” Rzeczywiście, widziała – przygotowane i spreparowane przez SB kartki, listy, zdjęcia, środki antykoncepcyjne i alkohol.

Chcieli nas poróżnić, skłócić, podkopać zaufanie świeckich do księży. Chcieli i chcą nadal. I to działa niejako w obie strony. Nie zawsze czynią to zawodowcy. Nieraz zwykli ludzie chcą także rozbić jedność Kościoła, skłócić parafię czy wspólnotę.

W księdze Apokalipsy znaleźć możemy takie znamienne słowa: „bo oskarżyciel braci naszych został strącony, ten, co dniem i nocą oskarża ich przed Bogiem naszym” (Ap 12, 10).

To jest istotne zadanie złego ducha – oskarżać ludzi. I mówi on samą prawdę. Prawdę o grzechu, który jest w każdym z nas. Ale mówi tę prawdę po to, aby Bóg wydał na nas wyrok potępiający. Ale, ściśle mówiąc, jest to w zasadzie tylko półprawda o człowieku. Czy ci, którzy potrafią mówić jedynie: „on postąpił źle”, domyślają się, że ten sam człowiek już zaraz po swoim złym uczynku okupił swoją winę cierpieniem, pokutą, obmył ją łzami? Także nam, księżom, którzy mamy być światłem i solą, takie uczucia nie są obce...

Bo w każdym z nas jest dobro i zło, i kiedy świadomie i nieustannie pomija się jeden z tych elementów, to ukazuje się człowieka tylko w jakiejś zafałszowanej półprawdzie. Gdyby ukazywać najlepszego człowieka, najlepszą rodzinę czy wspólnotę, gdyby ukazywać tylko w chwilach słabości, a te zdarzają się wszystkim, obraz byłby zawsze czarny. Dlatego powtórzę po raz kolejny, a może nawet pokornie poproszę: bądźmy ostrożni, kiedy przyjdą do nas słudzy odwiecznego oskarżyciela. Stokroć lepiej pomylić się na korzyść człowieka, niż pomylić się, wydając na niego niesłuszny wyrok. Ci, którzy krzyczeli w Wielki Piątek: „Ukrzyżuj, ukrzyżuj!”, także byli przekonani, że domagają się śmierci zbrodniarza. Już się o to Sanhedryn postarał. Skoro Żydom udało się wtedy wykreować taki obraz Jezusa, Człowieka, najświętszego ze świętych, to cóż dopiero mówić o dzisiejszych specach od propagandy? Mają przecież prostsze zadanie. W przeciwieństwie do Jezusa my, księża, naprawdę upadamy.

Kiedy pewnego dnia do kancelarii parafialnej weszła starsza kobieta i zapytała, czy Kościół prowadzi jakieś zakłady dla alkoholików, i wybuchnęła przy tym płaczem, to od razu wiedziałem, że chodzi o jej syna. To był ten znak rozpoznawczy – m i ł o ś ć. Miłość do człowieka, który upada. Bo można mówić nawet najbardziej przykrą prawdę o człowieku, ale można ją mówić w diametralnie różny sposób. A ci, którzy filmują, opisują, rozpowszechniają informacje o ciemnej stronie życia chrześcijan, robią to przeważnie w jednym celu: chcą zniechęcić innych do Kościoła, rozbić jedność księży i świeckich. Dlaczego tak czynią? Aby człowiek mógł żyć, wszystkie części jego ciała muszą być połączone i niejako współpracować ze sobą. Gdy wykonywano na kimś wyrok śmierci, to odcinano mu głowę, oddzielano ją od reszty ciała. I Kościół też jest organizmem, żywym organizmem. Chcąc go zniszczyć, oderwać jego poszczególne członki, niektórzy próbują „odciąć” niejako duchowieństwo od laikatu. Gdyby się tak stało, to taka wspólnota lokalnego Kościoła przestałaby żyć. Świeccy bez kapłana nie mogą prowadzić w pełni religijnego życia. Byliby przecież pozbawieni Eucharystii, sakramentu pojednania, a więc tej duchowej rzeczywistości, która jest fundamentem życia Kościoła. Ale duchowieństwo bez świeckich też nie jest i nie może być Ludem Bożym. Przecież to ludzie świeccy powołani są do przekazywania życia, to rodzina tworzy ten pierwotny, przez nic nie zastąpiony Kościół domowy. Wiedzą to ci, którzy próbują wbić pomiędzy nas klin niezgody.

A chcą nas skłócić jeszcze z jednego powodu. Kościół jest matką. Może niekiedy w swoim duszpasterzowaniu nieporadną, może nienowoczesną, może niekiedy przewrażliwioną, ale najprawdziwszą matką. Jest matką ludzi powierzonych swojej opiece. I jak każda matka chwali, gani i troszczy się. I jak każda matka jest wierna. Od tysiąca lat Kościół na ziemiach polskich jest z ludźmi. Był przed wiekami, był w czasie zaborów, był w czasie okupacji, w czasach komunizmu. Był zawsze. I za tą wierną obecność płacił krwią od czasów świętego Stanisława biskupa aż po księdza Popiełuszkę. I zawsze było

tak, że kiedy ktoś chciał skrzywdzić Polaków, wiedział, że musi odsunąć na bok Kościół – robili tak zaborcy, Niemcy, komuniści. Gdy ktoś chce wyrządzić krzywdę dziecku, wykorzystać je czy oszukać, wie, że musi poradzić sobie najpierw z matką, która prędzej niż dziecko zdemaskuje podstęp i zawsze stanie w jego obronie. I dlatego wielu cwaniaczków często zaczyna od tego: „twoja matka jest nieodpowiedzialna, uwzięła się na ciebie, chce cię urobić po swojemu, ogranicza twoją wolność”. Ten, który tak mówi, przychodzi zawsze jako przyjaciel. Sympatyczny i szczery, taki, co to „zrozumie człowieka”. Wielu młodych ludzi daje się na to nabrać. Swoją błąd zaczynają rozumieć, gdy sami dorosną. Gdy sami zostaną rodzicami.

Dziś ta historia dokładnie powtarza się w naszym kraju. Księża nie wsadza się już do więzień, choć i tak dziwnie często zdarzają się pobicia, a nawet morderstwa osób duchownych. Sprawców już tradycyjnie nie udaje się schwytać. Ale przede wszystkim mamy wokół nas tę armię wyluzowanych, sympatycznych ludzi, którzy mówią z uśmiechem: „Jesteś wolny, rób co chcesz, ale uważaj na Kościół. Czarni chcą ograniczyć twoją wolność. Rób jak chcesz, możesz sobie być wierzącym i praktykującym. Ale gdybyś miał już dość tych pasibrzuchów, to przyjdź do nas. Tu nikt ci nic nie będzie nakazywał. Będiesz po prostu sobą!” A Kościół? Jak matka. Chrzcą, uczą, księża cały czas chodzą do więzień i szpitali. Organizują wraz ze świeckimi pomoc charytatywną, prowadzą domy opieki społecznej. I gdy ktoś jest w potrzebie, nie pytają, czy głosił przedtem antyklerykalne hasła. Proszę sprawdzić choćby przy Dworcu Centralnym w Warszawie. Gdy ktoś przychodzi głodny, to zakonnicy z czerwonym krzyżem na piersiach o nic nikogo nie pytają, tylko dają jeść. Jak matka. Wczoraj może nazwana głupią, dziś robi dziecku śniadanie, i gdy trzeba, idzie po lekarza. I jestem pewny, że ten po ludzku niedoskonały Kościół, z jednej strony czasami rzeczywiście nieporadny, ale z drugiej ewidentnie ośmieszany i poniżany, że ten sam Kościół, gdy przyjdą może na nasz kraj trudne dni, będzie z ludźmi. Jak nigdy przedtem, tak i teraz nie zdradzi. Może się przestraszy, może popełni jakiś błąd, może w tej czy innej osobie zawiedzie, ale nie zdradzi.

### JAKI POWINIEN BYĆ KSIĄDZ?

Istnieje k o n k r e t n y wzór postawy i posługiwania kapłańskiego. Jest on ponadczasowy i uniwersalny, dotyczy bowiem wszystkich biskupów i księży na całym świecie. I zacnych profesorów, którzy uczą z katedr uniwersyteckich, i księży wikarych, którzy prowadzą grupy ministranckie. Tym wzorem jest Osoba Jezusa Chrystusa, jedyne Kapłana, którego obecność mają urzeczywistniać poprzez swoje posługiwanie wszyscy biskupi i księża na całym świecie. Każdy ksiądz jest w momencie święceń tak mocno zjednoczony z Chrystusem,

że całe jego kapłaństwo ma być na wzór kapłaństwa Chrystusowego. Jemu ma służyć, Jego ma głosić, a wszystko to czynić ma w Chrystusowy sposób. Każdy ksiądz jest powołany do szczególnego naśladowania swojego Zbawiciela.

Odpowiadając na pytanie, który ksiądz jest dobry, powiedzieć należy, że w świetle tego, co zostało napisane, ten, który jest mocno zjednoczony ze swoim Mistrzem: mówi tak jak On, czyni tak jak On, kocha tak jak On i służy Bogu tak, jak Chrystus w posłuszeństwie służył Swojemu Ojcu. Każde odejście księdza od Osoby Jezusa, od postawy Jezusa, od nauczania Jezusa jest jego tragedią i dramatem. I dlatego w zasadzie nigdy nie powinniśmy patrzeć na księdza oddzielnie, w oderwaniu od Jezusa. Mówiąc obrazowo, gdy widzimy kapłana głoszącego Boże słowo, powinniśmy oczyma wiary zawsze widzieć stojącego obok niego Zbawiciela. Gdy klękamy przy konfesjonale, powinniśmy dostrzegać gdzieś przy kratkach twarz miłosiernego Boga. Podobnie powinien przeżywać swoje posługiwanie każdy ksiądz. On także powinien bardzo szanować swoje kapłaństwo ze względu na to, że jest ono przepelnione żywą obecnością Jezusa Chrystusa.

Byłem kiedyś na Mszy świętej prymicyjnej w kościele Sióstr Wizytek w Warszawie. Rektor tego kościoła, poeta, ksiądz Jan Twardowski powiedział na tej Mszy dosłownie kilkudzaniowe kazanie. Wypowiedział między innymi słowa, które zapamiętałem do dziś: „Twoje kapłaństwo, księżę neoprezbiterze, jest czymś tak świętym i niezwykłym, że ty sam ucałuj swoje ręce”. Ucałować swoje ręce. Ten zwrot jakże sugestywnie wskazuje na to, jak bardzo sam ksiądz powinien szanować ten dar, którym obdarzył go Bóg.

Powiedzieliśmy wcześniej, że jedynym i ostatecznym wzorem dla każdego księdza jest Osoba Jezusa Chrystusa. Pragnę to jeszcze raz podkreślić, ponieważ zdaję sobie sprawę z pewnego oczywistego faktu. O ile na początku stwierdziłem, że ludzie w Polsce dużo mówią o księżach, to zdaję sobie sprawę, że tak było i będzie zawsze. Będą mówić i oceniać. Może mniej, może inaczej, ale będą. Osoba publiczna, znana ludziom, staje się zawsze tematem rozmów i ocen. Jednak pierwszym „przykazaniem” naszych wypowiedzi o innych jest: zawsze czynić to z życzliwością, nikogo przy tym nie obmawiając, nie oczerniając. Powinniśmy także starać się odnaleźć w każdym człowieku dobro. Otóż skoro takie rozmowy o kapłanach są i będą, byłoby dobrze, gdyby wszyscy patrzyli na nich przez pryzmat Osoby Jezusa. Oczywiście już od razu powiedzieć trzeba, że żaden z księży nigdy Jezusowi dosłownie nie dorówna, ale otwierając się na Ducha Świętego, może się bardzo do Niego upodobnić w swoim posługiwaniu. Przykłady życia świętych kapłanów są tego znamienym dowodem.

Ludzie więc powinni się cieszyć, kiedy „ich” ksiądz naucza jak Jezus, służy ludziom jak Jezus, napomina jak Jezus, a martwić się, gdy w swoim duszpa-sterzu nie mogą znaleźć śladów postawy Mistrza z Nazaretu. Na księdza trzeba więc niejako patrzeć z Ewangelią w ręku. Nie wystarczy powiedzieć: „nasz

ksiądz jest niedobry, bo w kościele podnosi głos na kazaniach”, tylko trzeba zapytać, czy robi to tak jak Jezus. Bo Zbawicielowi także zdarzało się podnosić głos i kapłan też ma prawo to czynić, ale tylko wobec takich osób i w takich sytuacjach, w jakich czynił to Jezus. Można też zapytać o pewne proporcje. Na pewno wykoślawiłby Ewangelię ksiądz, który krzyczałby na ludzi bez przerwy. Wszak Jezus tak nie czynił. Z drugiej jednak strony można zapytać, czy ksiądz, który przez całe życie nigdy nikogo tak mocno, czy nawet gwałtownie nie napomni, naucza na wzór swego Mistrza? Czy jest możliwe, aby na swojej wieloletniej drodze nie napotkał ludzi, którzy na to zasługują? A gdyby Jezus żył dzisiaj wśród nas jako zwykły człowiek, w jaki sposób mówiłby „kazania” o zabijaniu nie narodzonych dzieci? Zanim kto odpowie, proszę, aby dokładnie przeczytał pewne fragmenty Ewangelii. Choćby Mt 23, 13-36...

W taki sposób powinniśmy patrzeć na inne sytuacje z kapłańskiego życia. Na przykład czy na pewno zasługuje na naganę ksiądz, który usuwa się przed ludźmi pragnącymi się u niego wyspowiadać. Pozornie wydaje się, że oczywiście tak. Przecież ksiądz ma służyć ludziom, a nie ich unikać. Kto jednak czyta wnikliwie Ewangelię, bez trudu przypomni sobie ten fragment, który mówi, że i Zbawiciel usuwał się na bok, mimo że ludzie Go szukali. Czynił tak, bo niekiedy był bardzo zmęczony, bo chciał się pomodlić w samotności, czy wreszcie wiedział, że ludzie szukają go nie dlatego, iż pragną słuchać słowa Bożego, ale dlatego, że chcą, by Jezus rozmnożył im chleb lub stał się ich politycznym przywódcą. Zatem gdy ktoś nam powie: „poprosiłem księdza, by mnie wyspowiadał, a on mi odmówił”, nie oburzajmy się od razu, ale jeśli już chcemy poznać sprawę, to spróbujmy się dowiedzieć, dlaczego tak się stało. Na pewno nie jest dobrze, gdy ksiądz notorycznie unika spotkań z ludźmi, ale historia Jezusa pokazuje, że taki pojedynczy wypadek może mieć miejsce, jeśli będą tego wymagać okoliczności.

Niekiedy ludzie oburzają się, dlaczego buduje się tak wiele kościołów, skoro na ulicach tylu biednych i wciąż mamy za mało szkół i szpitali. Gdy słyszę to pytanie, odpowiadam innym: dlaczego Jezus pochwalił Marię Magdalenę, gdy ta wylała na Jego stopy olejek za trzysta denarów (to była roczna zapłata dla robotnika). Przecież wtedy, może nawet tuż za ścianą, też byli biedni i głodni? Czyżby Jezus o tym nie wiedział? A przy okazji warto jeszcze wspomnieć o innym wymiarze tego problemu. Jeśli dziś nie będziemy wznosić kościołów na nowych osiedlach, to za kilkadziesiąt lat trzeba tam będzie pobudować więzienia i domy dziecka.

Musimy pamiętać o tym, że Jezus rozmawiał z cudzołożnicami, chodził w gościnę do znienawidzonych celników, był życzliwy rzymskim żołnierzom, którzy przecież służyli w okupacyjnej armii. Chrystus całkiem świadomie, w imię miłości bliźniego, przekraczał drobiazgowo przepisy żydowskie. Przewracał nie tylko z biednymi, ale chodził także na uczyty do ludzi bardzo zamożnych z tak zwanych sfer rządzących. Zbawiciel wędrował do regionów, gdzie



nigdy by nogi nie postawił żaden pobożny Żyd. To między innymi właśnie za to Zbawiciel został tak znienawidzony. Za to, że Jego miłość do człowieka łamała utarte schematy i nie liczyła się z ludzką opinią. I w tych wszystkich niekonwencjonalnych zachowaniach Jezus kazał się naśladować. Kto chce pójść Jego śladem, też będzie musiał nieraz zachować się w sposób, który na pierwszy rzut oka wydaje się gorszący. Tylko Ewangelia, pilne przyglądanie się Jezusowi, pozwoli oddzielić plewy grzechu od ziaren ewangelicznej posługi w postawie kapłana.

Od tamtych wydarzeń minęło już dwadzieścia wieków. Chrześcijanie od dzieciństwa słuchają nauki Ewangelii, uznają Jezusa za swojego Mistrza i oczywiście akceptują wszystko to, co mówił i czynił. Wydawać się może, że chrześcijanina nie powinno dzisiaj szokować to, co tak oburzało wrogów Jezusa dwa tysiące lat temu, ale... raczej biada księdzu, którego zobaczono by z cinkciarzami w restauracji, którego zauważono by wychodzącego z agencji towarzyskiej, który porozbijałby kioski handlującym w kościele. W wielu środowiskach nie pytano by wcale: po co tam poszedł, dlaczego z tymi ludźmi się spotykał, lecz natychmiast wydano by wyrok. Aby poprawnie ocenić postawę i posługiwanie księdza, trzeba najpierw wczytać się dobrze w Ewangelię. Bowiem do księdza można mieć tak naprawdę tylko jeden zarzut: że nie naśladuje Jezusa Chrystusa. Może to się przejawiać na różne sposoby, ale istota pozostaje ta sama.

Istnieją słowa, które niekiedy przypisywane są księżom dla ich życzliwego określenia, ale których na pewno nie znajdziemy w Ewangelii. Chodzi o słowo „fajny” (to pojawia się raczej w ustach młodzieży) lub „życiowy” (tym posługują się starsi). Mówi się o „fajnych”, „młodzieżowych” księżach, którzy to pikantny kawał umieją opowiedzieć, są zawsze elegancko ubrani i w ogóle potrafią być duszą towarzystwa. Niektórzy świadkowie takich „popisów” z zażenowaniem opuszczają głowy, ale inni są zachwyceni: „Ale fajny ksiądz! Nie tak jak tamten ponurak, co to ciągle tylko o jakichś zagrożeniach mówi i węszy wszędzie dzieło szatana”.

Oczywiście w pracy kapłańskiej ważną rolę odgrywa i poczucie humoru, i umiejętność swobodnego zachowania. To bardzo dobrze, kiedy ksiądz umie opowiedzieć dowcip czy zagrać z ministrantami w piłkę. Ale granice tego „luzu” muszą być ściśle określone. Bowiem o Panu Jezusie można wiele dobrego powiedzieć: że był mądry, delikatny, odważny, bezkompromisowy, że kochał nawet najprostszycy ludzi, ale chyba nie można powiedzieć, że „Pan Jezus był fajny”. Podobnie jest ze wspomnianą cechą „życiowości”. Jezus doskonale znał ludzkie życie. On przecież stworzył świat. Znał święte i ciemne zaułki ludzkiego serca. I był bardzo życiowy. Przede wszystkim w tym znaczeniu, że to On prowadził ludzi do prawdziwego życia i nigdy nie uczyniłby nic, co mogłoby pchnąć ich na drogę potępienia. A każda akceptacja grzechu może być właśnie takim popchnięciem kogoś ku ciemności. I dlatego – z miłości do

nas – Jezus był bezwzględny. Nawet wybranemu Piotrowi dostało się mocno, gdy radził Jezusowi, by nie szedł na krzyż. Może nawet po ludzku było Jezusowi przykro, że musi tak ostro skarcić ukochanego ucznia, ale uczynił to bez wahania.

Podobnie i księdzu niekiedy jest po ludzku i przykro, gdy musi zdecydowanie mówić „nie” tym, którzy próbują wejść na drogę grzechu czy choćby jakiegoś niewangelicznego kompromisu. Jest to trudne tym bardziej, kiedy są to ludzie znajomi i w sumie porządni. Chyba każdy ksiądz ma czasem pokusę, by przymknąć wtedy oko, by nie zadrażniać sytuacji. By być takim „fajnym” i „życiowym”. To jest bardzo niebezpieczna pokusa kapłańskiego życia. Bo chyba po ludzku patrząc, każdy ksiądz chciałby być lubiany, chciałby mówić ludziom tylko życzliwe i ciepłe słowa. Gdyby kapłan uległ tej pokusie, na pewno zyskałby wielu sympatyków. Iluż ludzi chciałoby usłyszeć na kazaniu słowa: „Ludzie, nie wpadajmy w skrajności. Przecież to nic strasznego, kiedy ktoś, z miłości oczywiście, wyjdzie powtórnie za mąż. Po co całe życie użerać się z kimś, kogo się nie kocha. A środki antykoncepcyjne to też nie taka straszna rzecz. Przecież to nikomu nie szkodzi, a ile daje spokoju i od ilu strasznych stresów uwalnia”. Taki styl nauczania, bezstresowy i pogodny, na pewno spodobałby się wielu. Takiemu księdzu zapewne dobrze by się powodziło. Zyskałby wielu przyjaciół, tylko że... straciłby i zdradziłby Chrystusa i Kościół. I dlatego ksiądz, chcąc być wiernym Bogu, musi niekiedy być znakiem sprzeciwu dla ludzi. Nienowoty to problem. Już przed wiekami prorok Jeremiasz uskarżał się, że:

„Uwiodłeś mnie, Panie, a ja pozwoliłem się uwieść;  
ujarzmiełeś mnie i przemogłeś.

Stałem się codziennym pośmiewiskiem,  
wszyscy mi urągają.

Albowiem ilekroć mam zabierać głos,  
muszę obwieszczać:

«Gwałt i ruina!»

Tak, słowo Pańskie stało się dla mnie  
codzienną zniewagą i pośmiewiskiem.

I powiedziałem sobie: Nie będę Go już wspominał  
ani mówił w Jego imię!

Ale wtedy zaczął trawić moje serce jakby ogień,  
nurtujący w moim ciele.

Czyniłem wysiłki, by go stłumić,  
lecz nie potrafiłem” (Jr 20, 7-9).

W rozmowach z tymi, którzy nie za bardzo kochają Kościół, zdarza mi się słyszeć taki zarzut, że jeśli Kościół będzie tak niezyciowo nauczał o rozwodach,

aborcji, środkach antykoncepcyjnych, to już niedługo świątynie będą świeciły pustkami. Owszem, nie jest obojętna duszpasterzom liczba ludzi przychodzących do kościoła. Gdy liczba wiernych maleje, to trzeba z troską postawić sobie pytanie, dlaczego tak się dzieje, i spróbować przeciwstawić się temu. Może trzeba udoskonalić język czy formy duszpasterstwa albo po prostu podjąć je ze zwiększoną gorliwością. Nigdy jednak nie można próbować rozwiązać tego problemu, odchodząc od wierności Ewangelii poprzez „rozcieńczanie” nauki Chrystusa, fałszywe jej „słodzenie”. Chrystus też na pewno boleśnie przeżył, kiedy odchodzili od niego Jego uczniowie. Było tak szczególnie po Jego nauce dotyczącej Eucharystii. Jak zapisał ewangelista: „Odtąd wielu uczniów Jego odeszło i już z Nim nie chodziło” (J 6, 67). Mimo to Jezus, świadek Prawdy, nie zmienił ani jednego słowa w swoim nauczaniu. Nie mógł zaprzeczyć Prawdzie, czyli samemu Sobie. I tak jest po dziś dzień.

Być może przyjdą jeszcze w Polsce – czy w innych regionach świata – czasy, że liczba przyznających się do chrześcijaństwa zmniejszy się. Będzie to smutne, ale nie tragiczne. Bo nawet garstka ludzi wiernych Ewangelii i Tradycji pozostaje Kościołem. Tłum jednak, który przerobił sobie naukę Jezusa na jakąś wygodną doktrynę, Kościołem Chrystusowym już nie jest. Dlatego dla ślubu Bożego argument liczby wiernych nigdy nie był istotny. Od czasów samego Jezusa chrześcijanie doświadczali tego, że głoszona przez nich nauka nie podoba się wielu ludziom i bywali z tego powodu często opuszczani przez bliskich albo nawet skazywani na prześladowanie.

Na marginesie tylko warto przypomnieć, że są w świecie takie Kościoły chrześcijańskie, które zaakceptowały zabijanie nie narodzonych dzieci, antykoncepcje, rozwody, a homoseksualizm nie jest w ich mniemaniu wykroczeniem moralnym. Kościoły te stały się tak wygodne i „światowe”, że w wyniku tego... straciły wielu wiernych, a ich świątynie świecą dziś pustkami.

Zdarza się, że odchodzą też księża. Na rekolekcjach przed święceniami kapłańskimi nasz rekolekcjonista, ks. Bronisław Bozowski, opowiedział nam pewną historię. Było to przed laty w Warszawie. Tramwaj potrafił człowieka przechodzącego przez ulicę. Poszkodowany leżał na jezdni, cały zakrwawiony, a jego stan był bardzo ciężki, a nawet krytyczny. Tak się złożyło, że przechodził tamtędy ksiądz. Ksiądz, który już od lat nie spełniał swoich kapłańskich funkcji. Był nadal księdzem, bo kto przyjmie sakrament kapłaństwa, pozostaje osobą duchowną na zawsze. Otóż ten ksiądz przechodził obok miejsca wypadku z tak zwaną swoją żoną. I widział, jak ten człowiek umierał leżąc na jezdni. I wtedy podszedł i po raz pierwszy po kilkudziesięciu latach udzielił rozgrzeżenia. W takiej sytuacji miał prawo to zrobić i uczynił to ważnie, a w chwilę potem zaczął bardzo płakać... A ludzie pytali się siebie: „Dlaczego ten mężczyzna tak płacze? Czy ten ranny to jakiś jego bliski?” Tak. Choć był to dla niego zupełnie obcy człowiek, to był przecież bardzo bliski. To była jego owieczka ze stada, które kiedyś, przed laty, powierzył mu Pan. I nigdy nie

zapomnę także tego, jak ksiądz Bozowski, gdy skończył nam opowiadać tę historię, odwrócił się do nas plecami, stanął twarzą do tabernakulum i rozplakał się...

Wielkie są te kapłańskie tragedie. Przecież każdy ksiądz stanie kiedyś przed swoim Mistrzem na sądzie ostatecznym, a On zada mu pytanie: jak pasłeś moje owce? I na pewno dla niektórych będzie to trudna rozmowa. Bóg obdarzył kapłanów wielkimi darami, ale i wielką odpowiedzialnością i już na kartach Pisma świętego można znaleźć bardzo twarde słowa, które Bóg wypowiada do swoich sług. W Księdze Ezechiela znajdujemy taki oto fragment: „Pan skierował do mnie te słowa: «Synu człowieczy, prorokuj o pasterzach Izraela, prorokuj i powiedz im, pasterzom: Tak mówi Pan Bóg: Biada pasterzom Izraela, którzy sami siebie pasą! Czyż pasterze nie powinni paść owiec? Nakarmiliście się mlekiem, odzialiście się wełną, zabiliście tłuste zwierzęta, jednakże owiec nie paśliście. Słabej nie wzmacnialiście, o zdrowie chorej nie dbaliście, skaleczonej nie opatrywaliście, zbłąkanej nie sprowadziliście z powrotem, zagubionej nie odszukiwaliście, a z przemocą i okrucieństwem obchodziliście się z nimi. Rozproszyły się [owce moje], bo nie miały pasterza i stały się żerem wszelkiego dzikiego zwierza. Rozproszyły się, błądzą moje owce po wszystkich górach. [...] Tak mówi Pan Bóg: Oto jestem przeciw pasterzom. Z ich ręki zażadam moich owiec, położę kres ich pasterzowaniu, a pasterze nie będą paść samych siebie; wyrwę moje owce z ich paszczy, nie będą już one służyć im za żer»” (Ez 34, 1-10).

Bardzo mocno wierzę w to, że każdy ksiądz, nawet ten zagubiony, kiedy przed laty leżał krzyżem na posadzce w katedrze w czasie swoich święceń, chciał naprawdę służyć ludziom. Chciał być dla Kościoła, dla dzieci, dla młodzieży i starszych. Jego rodzice patrzyli ze łzami na swoje dziecko w białym ornacie, a on z głową pełną pomysłów i nadziei jechał potem na swoją pierwszą parafię. A potem zdarzało się, że gdzieś się pogubił... Dlaczego? Bóg to wie. Może w tym było dużo jego winy, lekkomyślności, zaniedbania pracy duchowej? A może nie tylko?

Każdy kapłan ma być sługą Jezusa, o którym mówiono, że postradał zmysły. Wielu, patrząc na Nauczyciela z Nazaretu, pytało się zapewne: „Kim On jest? Szalony czy święty?” Bardzo wielu pogubiło się szukając odpowiedzi na to pytanie. Dziś ludzie też mają wiele wątpliwości, które wyrażają się właśnie w dyskusjach o Kościele. Czy Kościół broni wolności człowieka, czy chce ją ograniczyć? Wiarygodne światło na sprawę może rzucić jedynie Ewangelia i sam Jezus. Dlatego nie mogą zrozumieć Kościoła ci, którzy nie czytają Pisma świętego, którzy nie zginają kolan przed Bogiem. Nie mogą zrozumieć świętości Kościoła, która ukryta jest w plewach grzechu. Nie mogą dostrzec celu, do którego zmierza Lud Boży. Nie mogą zrozumieć stopnia takich niebezpieczeństw, jak zabijanie poczętego życia, eutanazja, rozwody, rozkład rodziny i wiele, wiele innych. Nie dziwi taka postawa u ludzi odcinających się od

chrześcijaństwa. To naturalne, że odrzucają oni to, co trudne i wymagające zaparcia się siebie. Jednak my, którzy zbieramy się wspólnie na modlitwie i Eucharystii, powinniśmy, poznając naukę Bożą przez studia i pracę duchową, jednoczyć się w traktowaniu tego, co jest dobre dla człowieka, dla Kościoła, dla naszego zbawienia. Przez pryzmat Biblii powinniśmy się jednoczyć w uznawaniu, jaki uczynek jest dobry, jaka droga jest dla nas dobra i... jaki ksiądz jest naprawdę dobry.

Przeciwstawić się zniechęceniu pomaga fakt, że oprócz ludzi uprzedzonych i pełnych zacierzenia, którzy na pewno nie stanowią większości, są setki i tysiące innych, których kapłan, bez żadnej przesady, może nazwać braćmi i siostrami. Tak wielu życzliwych świeckich ludzi, bez których pomocy i dobroci nasze posługiwanie byłoby zupełnie niemożliwe. Ilu już spotkałem w moim życiu dobrych lekarzy i pielęgniarek, którzy stawiali mnie na nogi. Ilu mechaników samochodowych, którzy ratowali w awaryjnej sytuacji, ilu zwykłych kierowców, którzy zatrzymywali się, by podwieźć. Ilu bezimiennych, którzy przysyłali serdeczne listy, ofiarowali swoją pomoc. Ich życzliwość bardzo pomagała, mobilizowała do lepszej służby. Niekiedy, nie ukrywam, zawstydziała.

Wielu ludzi pomaga księżom w zwykłych, codziennych sprawach, ale świeccy potrafią także bardzo wspomóc duchowo. To, co jeszcze kilkadziesiąt lat temu było nie do pomyślenia: żeby człowiek świecki nauczał księży, dziś staje się faktem. Na rekolekcjach dla księży stają przy mikrofonie świeccy, by mówić o problemach świata, rodziny, Kościoła, o miłości bliźniego i wielu innych sprawach.

Przed kilku laty przeczytałem w jednym z katolickich miesięczników, pewien wiersz-list napisany przez świecką autorkę. Zrobił on na mnie bardzo duże wrażenie. Przepisałem go sobie i do dziś stanowi dla mnie jedną z najmądrzejszych nauk dotyczących kapłaństwa. Przytaczam go w całości i bardzo przepraszam Autorkę, że nie umieszczam jej imienia i nazwiska, ale nie zapisałem ich wtedy. Mam nadzieję, że ten wydrukowany poniżej tekst pomoże nam skontaktować się ze sobą. Chciałbym bardzo podziękować za tak ważną dla mnie duchową pomoc i w następnym przytoczeniu tekst już podpisać.

Czyż ksiądz nie powinien być...  
 człowiekiem, który bił się z Bogiem  
 źródłem uświęcenia  
 grzesznikiem, któremu Bóg przebaczył  
 panem swoich pragnień,  
 sługą nieśmiały i prawych,  
 nie uniżonym wobec możnych  
 lecz pochylającym się nad biednymi  
 uczniem swojego Pana  
 przewodnikiem swej owarzni

żebrakiem o hojnych rękach  
nosicielem niezliczonych darów  
matką niosącą pociechę chorym  
z mądrością wieku i ufnością dziecka  
dążącym wzwyż, lecz mocno stojącym na ziemi  
Stworzonym do radości, znającym cierpienie  
dalekim od wszelkiej zazdrości, jasnowidzącym  
szczerym w swej mowie  
przyjacielem pokoju  
wrogiem bezwładu  
na zawsze wiernym  
[...]  
Tak innym ode mnie!